

EWOLUCJONIZM

Otrzymałem niedawno list, w którym czytelnik zastawia się nad słuszością twierdzeń o dywersji ideologicznej i politycznej, zawartych w dość licznych ostatnio publikacjach poświęconych tej sprawie.

„Czy nie przesadzamy z tą dywersją? Niewątpliwie, działa ona, ale czy nie demonizujemy jej? Wygląda to tak, jakby za wszystko, co złe u nas, odpowiedzialni byli piekielnie przewrotni ludzie urzędujący w sztabach wojny psychologicznej na Zachodzie. Nie bardzo też chce mi się wierzyć, by nasi tzw. rewizjoniści byli narzędziem w ręku panów z „Wolnej Europy” czy paryskiej „Kultury”. Przecież są to rewizjoniści — co by o ich błędach nie mówić — działający w ramach naszego ustroju, usiłujący tylko szukać nowych rozwiązań. (...) Nie sądzę, żeby przeciwnicy socjalizmu aż tak bardzo zaprzeczali swą uwagę wojnę psychologiczną. Gdyby tak było, to trzeba by założyć, iż liczą na obalenie naszego ustroju tą drogą. A przecież zwycięstwo przy pomocy słów byłoby niemożliwe. Takimi głupcami to oni nie są.”

Układ sił

Politycy kierujący krajami kapitalistycznymi okazaliby się dziś głupcami przede wszystkim wówczas, gdyby przy obecnym układzie sił chcieli wywalczyć sobie zwycięstwo przy pomocy frontального ataku zbrojnego. Już dość dawno, w związku ze wzrastającą potęgą państw socjalistycznych, przeprowadzili rewizję swojej taktyki. Obowiązująca poprzednio doktryna interwencji militarnej, nazywana koncepcją „wyzwolenia” zaczęła im grozić śmiertelnym niebezpieczeństwem, zwłaszcza gdy w rękach najpotężniejszego państwa socjalistycznego znalazła się broń nuklearna.

Nie oznacza to, że państwa imperialistyczne całkowicie zrezygnowały z metody działań zbrojnych. Świadczy o tym także ogniska napięcia, jak Wietnam czy Bliski Wschód. Jednakże tam, gdzie trudniej byłoby stosować tę metodę, zwłaszcza w Europie — reakcyjni politycy Zachodu musieli poszukać nowych dróg. Dlatego właśnie dywersja ideologiczna i polityczna stała się ich głównym narzędziem. I to jest przyczyna, dla której stawiają obecnie na osłabienie sił wewnętrznych krajów socjalistycznych przy pomocy propagandy radiowej, a także dezorientowaniu ludzi i tych, którzy świadomie, jak rewizjoniści właśnie, usiłują doprowadzić do ewolucji w naszych krajach odpowiadającej zamysłom strategów Stanów Zjednoczonych i innych państw Zachodu.

Nie są to gołosłowne stwierdzenia. Udowodnić to można przy pomocy faktów, takich, jak rozbudowa różnych instytucji zajmujących się w Ameryce czy w NRF wojną psychologiczną. Rozgłoszenie radiowe takie,

jak „Wolna Europa” chciałyby wmowić słuchaczom, że żadnej dywersji politycznej nie ma. Ale przecież samo ich istnienie, ich rozbudowa i wysiłki, by udoskonalić działalność świadczą o tym, że dywersja działa. Nie brak wreszcie wypowiedzi rycerzy wojny psychologicznej, którzy otwarcie w chwilach szczerości mówią, o co im chodzi.

Nowa taktyka - stara strategia

Przykładem może być tu działalność publicystyczna, jednego z nich — Juliusza Mieroszewskiego drukującego swe artykuły w paryskiej „Kulturze”. Już w 1964 r. w książce pod wymownym tytułem „Ewolucjonizm” pisał wyraźnie o potrzebie i celach dywersji politycznej, choć oczywiście słowa: dywersja nie używał.

Przeprowadza tam analizę układu sił stwierdzając, że „wyzwolenie” Polski w drodze wojny jest już

Nad listami czytelników

dziś niemożliwe. Pisz, że z „chwila, gdy Stany Zjednoczone znalazły się w zasięgu sowieckich broni nuklearnych — polityka liberation — to znaczy koncepcja wyzwolenia Europy wschodniej siłą — utraciła wszelki realizm. Stany Zjednoczone nie są w stanie wyzwolić nie tylko Europy wschodniej, lecz nawet Kuby, która jest odległa od brzegów Ameryki nie o 3 000 mil lecz tylko o 80 mil”.

„Wyzwolenie” w drodze interwencji zbrojnej uważa w związku z tym za frazes bez pokrycia. Ale nie tylko ze względu na układ sił w świecie. Również dlatego, że nikt dziś nie jest w stanie namówić nasz naród do odrzucenia zdobyczy socjalistycznych i powrotu do stosunków panujących w Polsce przedwójnej. „Może jeszcze raz warto podkreślić — pisze — że ewolucjonizm wychodzi z założenia, że dla Polski i innych krajów Europy wschodniej — nie ma odwrotu od socjalizmu. Nie ma odwrotu od socjalizmu choćby z tej przyczyny, że nie ma powrotu do kapitalizmu”.

O tych słych kolega, emigrantach politycznych, którzy nie wyciągnęli wniosków ze zmieniającej się sytuacji i marzą o likwidacji socjalizmu drogą „wyzwolenia”, nie wyraża się zbyt pochlebnie: „Uchodźcy z 2-giej Rzeczypospolitej święcie wierzą, że mimo upływu 25 lat — gdyby jutro PZPR zapadła się pod ziemię — znikłyby wszystkie bariery oddzielające ich od kraju. W istocie wówczas dopiero uchodźcy mie-



Nr 387 30 III 1969 Rok IX

liby możliwość wymierzenia przepaści wykopanej przez ową ćwierćwiecie”.

Jakie Mieroszewski wyciąga wnioski? Stwierdza, że „likwidatorzy” nie przedstawiają dla komunizmu groźby. Za jedyną drogę uważa wpływanie na ewolucję komunizmu — o czymś w rodzaju pożadanym przez siebie i swych mocodawców kierunku. A jaki cel ostateczny? Niechętnie się na ten temat wypowiada, bo przecież byłoby to dobrowolne całkowite obalenie się, odrzucenie szat człowieka, który chce tylko „ulepszyć” socjalizm. Ale jednak w pewnym momencie zdradza się: „Kraje satelickie mogłyby zatrzymać (w pierwszej fazie) obecną ustrój...”

A więc tylko „w pierwszej fazie”. Tak oto przy pomocy nowej dywersyjnej taktyki autor „Ewolucjonizmu” i pokrewni mu zwolennicy „przerzucania mostów”, „rozmiękczenia” socjalizmu i podobnych doktryn pragną osiągnąć stare strategiczne cele, te same w końcu, które przyświecają tak wymyślanym przez Mieroszewskiego „likwidatorom” komunizmu.

Ale zobaczmy jeszcze, jakich sojuszników on widzi w kraju, na kogo stawia i komu chce pomagać. Odpowiedź nie pozostawia wątpliwości: „Przyszły socjalizm polski należy do rewizjonizmu...”. Nie ogranicza się do tego ogólnego stwierdzenia. Już wówczas, w 1964 roku, proponował posunięcia organizacyjne, które mogłyby przyczynić się do rozwoju rewizjonizmu jako narzędzia ideologicznego dywersji. Wysunął taki na przykład postulat: „Gdyby za granicą istniał ośrodek rewizjonistyczny utrzymujący kontakt z krajem — sprawy prawdopodobnie ułożyłyby się inaczej”.

Nie tylko polemika

Nie należy upraszczać. Nie wszyscy ludzie skłaniający się ku rewizjonizmowi są świadomymi narzędziami specjalistów od dywersji.

Nie wolno jednak nie doceniać niebezpieczeństwa, które stanowią takie instrumenty dywersji ideologicznej, jak rewizjonizm. Mimo że na tę sprawę w związku z wydarzeniami ubiegłego roku zwrócono większą uwagę, problem ten jeszcze nie jest przeszłością. Przeciwnicy, działający z zewnątrz starają się nieustannie pobudzać do działania sprzyjające im siły wewnątrz kraju, „Wolna Europa” i podobne jej rozgłoszenie radiowe popularyzują poczynania reakcyjnych środowisk

Dokończenie na str. 2



Mieczysław Skąpski

FILM

Pierwszy żołnierz Rzeczypospolitej

„PAN WOŁODYJOWSKI” — film produkcji polskiej. Scenariusz na podstawie powieści Henryka Sienkiewicza: Jerzy Lutowski i Jerzy Hoffman. Reżyseria: Jerzy Hoffman. Zdjęcia: Jerzy Lipman. Wykonawcy: Wołodyjowski — Tadeusz Łomnicki, Basia — Magda Zawadzka, Zagłoba — Mieczysław Pawlikowski, Kettling — Jan Nowicki, Krzysia — Barbara Brylska, Azja — Daniel Olszchowski, Luśnia — Gustaw Lutkiewicz, Adam Nowowiejski — Marek Perepeczko, Ewka Nowowiejska — Irena Karel, stary Nowowiejski — Władysław Hańcza, stolnikowa — Hanka Bielicka, hetman Sobieski — Mariusz Dmochowski i inni.

Nie sądzę, aby ktokolwiek mógł sobie pozwolić na poprawianie Sienkiewicza, na zrobienie filmu na podstawie jego książki, ale na przekór autorowi, Sienkiewicza można właściwie tylko ilustrować. Robiono to zresztą mnóstwo razy, zbyt wielką była pokusa popularności autora Trylogii. Pierwszy raz zrobiono to już w 1901 r. we Francji. Oczywiście chodziło o „Quo vadis?”, najczęściej dotąd przenoszona na ekran powieść Sienkiewicza. Przenoszono na ekran wiele jego nowel, liczne powieści, w tym także „Kryżaków” (był to największy w historii polskiej kinematografii sukces frekwencyjny i kasowy) oraz dwie pierwsze części Trylogii. O „Pana Wołodyjowskiego” nikt się dotąd przed Jerzym Hoffmanem nie pokusił.

Muszę powiedzieć, że nie dziwię się awersji filmowców do ostatniego członka Trylogii — niewątpliwie członu najsłabszego. Niewiele tam dramatycznej materii. Szczególna siła i urok Sienkiewicza tkwi w opisach wielkich

zmagani narodowych, w opisach wojennych batalii czy pojedynczych bitew, w malowaniu bohaterstwa jednostek na tle owych wojen. W „Pana Wołodyjowskiego” tej materii właśnie nie stało. Jest natomiast postać rycerza bez skazy, niezłomnego obrońcy Rzeczypospolitej, jej pierwszej szabli, gotowego zawsze — nie bacząc na osobiste sprawy — oddać życie dla ojczyzny. A więc niejako idealny wzór bohatera pozytywnego. I o to twórcom chodziło. Mówił reżyser filmu: „Dlatego właśnie „Pan Wołodyjowski”? Istnieje ogromne zapotrzebowanie na bohatera pozytywnego... „Pan Wołodyjowski” spełnia tego rodzaju tęsknoty... jest wzorem wzruszającego patriotę i obywatela...”

Nie ma sensu się zastanawiać, co by było gdyby, skoro mamy jasną intencję realizatorów. Przemyślimy przeto cele do efektu. Okazuje się wówczas, że film jest bardzo wiernym przeniesieniem powieści na ekran, że zachowuje wszystkie najistotniejsze wątki powieści. W filmie wyjątkowo trafnie obsadzono aktorów, po prostu trudno sobie wyobrazić obsadę trafniejszą. Aktorzy ci dolożyli rzetelnego wysiłku, by kreowane postaci były jak najprawdziwsze, by trwały zapisane w pamięci widzów. Są to udane postaci, nawet w przypadku takiego Zagłoby, który jak wiemy z lektury najwięcej miał wigor w pierwszej części Trylogii, jeszcze nie był brylował w drugiej, natomiast w trzeciej był już dość skapcałym staruszką, którego osławione „fortele” istniały już raczej w sferze legend niż realnego życia. Cudu w takiej sytuacji aktor nie mógł dokonać. Basia — hojduzek jest wprost uroczą, pan Michał jest jak trzeba cichy, ale odważny (nieco nudny jak zwykle bohaterowie bez najmniejszej skazy), świetny jest Olszchowski w roli Azji (to jedna z jego najlepszych ról), z całym swym dzikim okrucieństwem, zdradzieckim charakterem i ponurą przeszłością, na której batoży polskiej szlachty kresowej wypisywały krwawe obrazy poniżenia, pogardy, pomiatania uczuciami.

Film ma dobre tempo, które winno charakteryzować tego rodzaju film przygodowy. Nie było łatwo je utrzymać zarówno w części pierwszej — warszawskiej, poświęconej głównie amorom, jak w drugiej — chreptowskiej, gdzie dopiero od porwania Basi przez Azję akcja niejako naturalnie nabiera wysoce dramatycznego tonu. Film posiada dobre kolory, zwłaszcza ciekawą kolorystykę zastosowaną w scenach nocnych, tych zaś jest sporo. Osobno wyróżnić należy batalistykę. Takich scen masowych, takich bitew, robionych równie duże wrażenie jeszcze w polskim filmie nie widziałem. Armia turecka idąca do szturm na Kamieniec sprawia wrażenie morza zalewającego wyspę, jakiegoś potopu.

Wieloosobowa konsultacja naukowa wojkowa sprawiła, że film jest doskonałą szkołą obyczajową XVII-wiecznej, znakomitą studium ubiorów, broni (po obu walczących stronach), sposobów prowadzenia walki. Pod tym względem jest to prawdopodobnie najlepsza sienkiewiczowska ekranizacja. I wreszcie cel główny — wzór pozytywnego bohatera. Niewątpliwie mały rycerz zobędzie serca polskiej widowni, ma wszystkie dane po temu, został wyposażony przez wielkiego pisarza, a teraz przez reżysera i aktora w cechy charakteru i cechy fizyczne, które po prostu muszą mu zdobyć wielką sympatię. Sukces realizatorów jest więc pełny.

Jest to także sukces polskiej kinematografii, od paru lat nekanej kryzysami. Na XXV-lecie ludowej Polski daje ona polskiemu kinomanom film, który powinien ustanowić nowe rekordy frekwencji i kasy. Oby tak się stało. I by mały rycerz zeszczepił w sercach widzów te ideały, którym był zawsze wierny.

Jednym z najpoważniejszych osiągnięć powojennej polityki wyznaniowej w Polsce stało się przekreślenie dawnych, słabiej lub wyraźniej rysujących się podziałów na obozy „wierzących”, „niewierzących” lub „inaczej wierzących”. Skreślenie rubryki „wyznanie” z dokumentów urzędowych i akt prawnych, faktyczny rozdział Kościoła od Państwa i zagwarantowanie przez Konstytucję każdemu, obywatelowi wolności wyznania oraz wolności sumienia („religia — sprawa prywatna obywatela”) miało doniosłe znaczenie dla umocnienia się patriotycznej jedności wierzących i niewierzących w dziele budowy jednej, wspólnej Ojczyzny — Polski socjalistycznej, w umacnianiu obronności jej granic i zdobyciu ustrojowych. Ta cementująca się coraz bardziej jedność działania wszystkich obywateli znajduje m. in. dobitny wyraz w tegorocznej kampanii wyborczej do Sejmu oraz rad narodowych.

Warto tu przypomnieć, że w Polsce działa aktualnie ok. 30 wyznań nierzyskokatolickich — chrześcijańskich i niechrześcijańskich, które skupiają w sumie ok. 850 tys. wyznawców. Przed wojną mniejszości wyznaniowe liczyły ok. 40 związków i zrzeszały w swych szeregach blisko trzecią część mieszkańców naszego kraju.

Zyski i straty

Jak widać, ci „inaczej wierzący Polacy” stracili w ciągu ostatnich ćwierćwiecza na liczbie i liczebności swych organizacji religijnych. Był to wynik przesunięcia granic naszego państwa ze wschodu na zachód oraz procesu ujednolicenia na

rodowościowego. Np. liczba wyznawców Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego zmniejszyła się z ok. 4 milionów do 400 tysięcy, a wyznawców Kościołów ewangelicznych — z ok. 400 tysięcy do ponad 100 tysięcy. Niektóre inne Kościoły i związki religijne zwiększyły zresztą stan liczbowy wyznawców w porównaniu z okresem przedwojennym. Należą do nich m. in. Kościół Polskokatolicki, Ko-

raz w konkordacie z Watykanem, zawartym w 1925 r.), zaoferowanie ustawodawstwa państwowego i uleganie presji sfanatyzowanych kół klerkalnych — wszystko to sprawiło, że „inaczej wierzący” obojczy tele czuli się na każdym kroku obywatelami drugiej kategorii. Dopiero Polska Ludowa położyła kres istnieniu tego „podziemia wyznaniowego”, urągającego nowożytnej wolności wyznania oraz wolności su-

Andrzej Tokarski

„Inaczej wierzący” Polacy

ściół Adwentystów Dnia Siódmego i mniejsze społeczności religijne.

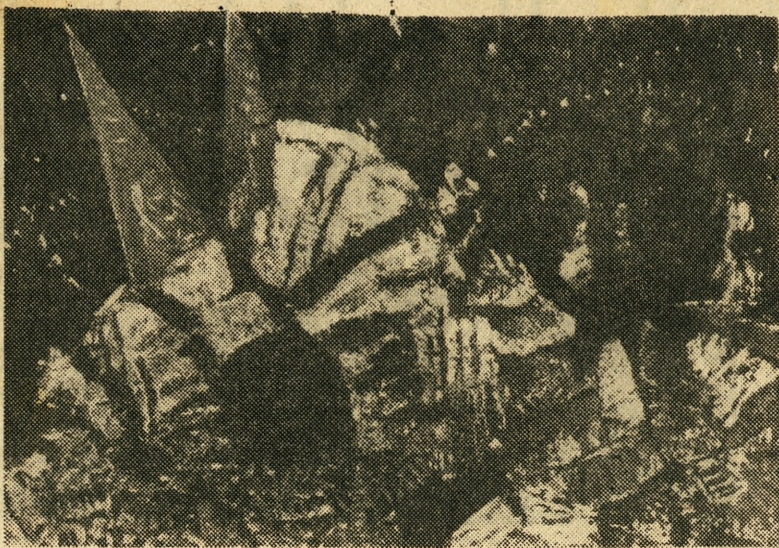
Najważniejszym zyskiem dla wszystkich bez wyjątku mniejszości wyznaniowych w Polsce było zalegalizowanie ich działalności przez władze państwowe, przyznanie im równych praw z rzymskokatolikami, umożliwienie im prowadzenia jawnej działalności, odprawiania nabożeństw, organizowania zjazdów i wydawania literatury religijnej. Pod tym względem okres międzywojenny należał do najbardziej ponurych okresów nietolerancji, a nawet dyskryminacji wyznaniowej. Wyjątkowe uprzywilejowanie jednego tylko wyznania (co znalazło wyraz w Konstytucjach — marcowej i kwietniowej o-

nienia i pełnego rozdziału Kościoła od państwa!

Prawa mniejszości

Oto kilka przykładów — pierwszych z brzegu. W roku 1923 sędzia w Bochni skazał na 12 dni aresztu księdza Kościoła „narodowego” (dziś siejszy Kościół Polskokatolicki) za to tylko, że ten ostatni „osiągnął się” odprawianiu w swoim własnym mieszkaniu nabożeństwo... W sierpniu 1931 roku sędzia grodzki w Radomiu polecił policji zdebrać sutany z wszystkich duchownych polsko katolickich i przesłać je jako „dowody rzeczowe” sądowi grodzkiemu.

Prawdziwą kampanię oczerniania ludzi i ich Kościoła zorganiz-



Kompozycja Aleksandra Kobzdej z wystawy w Muzeum Narodowym w Poznaniu.

Fot. — K. Przychodzki

Olgiard Błazewicz

Malarstwo sprawnego warsztatu

Przyjęło się traktować indywidualne wystawy współczesnych, żyjących twórców eksponowane w muzeach narodowych jako formę szczególnej nobilitacji artysty równoznaczną z oficjalnym zaliczeniem go do bardzo wąskiego grona najwybitniejszych. Rzeczywiście niewielu malarzy może poszczycić się w ostatnich latach poważną, przygotowaną z całym aparatem naukowym, ekspozycją muzealną. Na tych szczególnych prawach eksponuje obecnie swe prace w Poznaniu w Muzeum Narodowym znany malarz i profesor warszawskiej ASP — Aleksander Kobzdej. W przypadku tego właśnie artysty Muzeum Narodowe organizując wystawę nie ponosiło żadnego właścicielstwa. Twórca Kobzdej od lat zajmuje w sztuce polskiej bardzo ważne miejsce. Jest on jednym z tych malarzy, którzy z reguły reprezentują ją też na zewnątrz. Kobzdej należy do grona bywalców światowych metropolii sztuki, ma za sobą wystawy w Nowym Jorku i San Paulo, oficjalne nagrody państwowe i całą nieomal polską krytykę. A jednak to właśnie wystawa jest pewnym zaskoczeniem dla osób śledzących profil artystyczny poznańskiego muzeum w ostatnich latach. Cykl poprzednich wystaw: malarstwa Wróblewskiego, Bacciarelliego czy Malczewskiego sugerował jak gdyby inny profil wystawienniczy poznańskiej placówki muzealnej. Wydawało się już, że specyfiką galerii poznańskiej jest polskie, narodowe malarstwo figuratywne, na innych zasadach zaangażowane w swój czas i w swoją epokę niż malarstwo Aleksandra Kobzdeja.

Twórczość, droga artystyczna i cała kariera Aleksandra Kobzdeja jest bardzo bogata, ale także zawila. W latach pięćdziesiątych był on jednym z czołowych przedstawicieli malarstwa realizmu socjalistycznego, za głośny w swoim czasie obraz pt. „Podaj cegłę” otrzymał nagrodę. Potem malarstwo jego przeszło wraz z całą niemal polską plastyką na pozycję sztuki nieprzedstawiającej, dekoracyjnej. Zaczę-

ło ewoluować w kierunku abstrakcji, lecz w pełni abstrakcyjne na dobrą sprawę nigdy nie było, przeszkadzała w tym artystyce tradycja polskiej szkoły kolorystycznej, z ducha malarstwa Jana Cybisa. W przypadku Aleksandra Kobzdeja mamy więc do czynienia nie tyle z artystą nowatorem, co z twórcą programowo związanym ze sztuką swej epoki, kształtowanym przez nią, jej bez reszty ulegającym. Prace malarza spośród dziesiątek innych wyróżnia zdecydowanie więc tylko jedno: znakomity warsztat malarski, wiedza techniczna, kultura.

Prace tej wystawy dzielą się dość wyraźnie na trzy części. Pierwsza gromadzi obrazy z lat 1961-1966 z okresu dziś jak gdyby już klasycznego. Malarstwo to cechuje świetny warsztat, duża dynamika malarska, płótna. Ale szczerze mówiąc, ta część ekspozycji nie sprawia dziś już specjalnego wrażenia. Zapewne jeszcze pięć lat temu, gdy byliśmy niemal wszyscy w niewoli tej estetyki byłoby dla nas dużym wydarzeniem. Dziś już nie. Prace następne z lat 1966-1967 są jeszcze bardziej efektowne. A przy tym znakomicie wręcz eksponowane, co podnosi niezmienne ich rangę artystyczną w oczach zwiędzających. Trudno byłoby jednakże nie dostrzec pewnej monotonii ich środków malarskich, ubóstwa rozwiązań kompozycyjnych. A także ich estetyzmu, skłonności do upiększeń, do teatralizacji obrazu. Ostatnie prace noszą ślad kolejnych przemian w sztuce światowej. Obecnie malarz tworzy wielkie, efektowne malarsko kompozycje reliefowe o formach biologicznych, obłych. Przykuwają one uwagę swą kolorystyką, bogactwem materii malarskiej i swą wyszukaną urodą. Jednak to niewątpliwie wartościowe i wysoko cenione w świecie malarstwo nie przemawia mi osobiście do przekonania. Wydaje mi się ono jakś chłodną spekulacją, jakąś grą. Prawda, że efektowną i bardzo sprawnie przeprowadzoną warsztatowo, ale tylko gra. A nie próbą własnej interpretacji świata.

Maria Polcynowa

GNIAZDO

Kiedyś ten park, przeznaczony dla jaśniepańskich latorośli rodu Przyluskich (właścicieli ławnickiego klucza) był niewątpliwie lepiej utrzymany; troszczyła się o to liczna służba. Nie wpuszczano też w pobliże pałacyku foralskich dzieci. Dziś mieści się tu biuro Łukaszeńskiej Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej, a także mieszka kilka rodzin byłych „ordynariuszy”.

Tutaj właśnie przeżyła 18 lat rodzina Władysława Woltmana, współzałożyciela Łukaszeńskiej Spółdzielni, tu dwadzieścia lat temu przyszła na świat jasnowłosa dziewczynka, której rodzice nadali dźwięczne miano imienniczkę z krainy czarów — Alicja.

Rówieśnica Spółdzielni

— Pamiętam, że urodziła się akurat na drugi dzień po założeniu naszej Spółdzielni — wspomina Jan Kulski, współzałożyciel i przewodniczący Zarządu w ciągu minionych dwudziestu lat. Wielka była wtedy radość w rodzinie Woltmanów. Władysław ożenił się bowiem późno, młodość strawił jako księgowy w kłucie Łagiewniki. Gdy po wojnie został księgowym w Łukaszewie, pomagał jak umiał w ratowaniu pozostałego dobytku, który przydzielono dekretem reformy rolnej dawnej majątkowej załozie.

— Głowy trzeba było wtedy, żeby z tej biedy powojennej wybrnąć. Niemiec, który administrował majątkiem w czasie okupacji zboże wywoził, zostali tylko dwa nieomłocne stogi owsa. Z inwentarza uchowały się dwie krowiny, jeden koń i kilkanaście prosiaków — dodaje obecny przy tej rozmowie Jan Adamski, również jeden z 16 współzałożycieli Łukaszeńskiej Spółdzielni.

— Dwa konie — prostuje oborowy Franciszek Bednarek. — Był jeszcze Kusi...

— Jaki Kusi? Pomyliło ci się coś, przecież Kusego kupiliśmy potem, po dobie jak następne konie — też za cukier, który otrzymaliśmy za pierwszą odstawę buraków. — Kulski dobrze pamięta tamte czasy.

Testament

Kaspra Kulskiego

Trudno je zapomnieć. Właściwie to Łukaszeńska Spółdzielnia powinna obchodzić jubileusz 25-lecia, a nie 20-lecia, bowiem nigdy tutejsi nie pracowali indywidualnie na przydzielonej im z reformy rolnej ziemi. Obrabiali ją wspólnie parowymi plugami wypożyczonymi z Cukrowni w Miejskiej Górze. Za pierwsze tuczniki spłacił dług, kupił ziarno na wiosenny siew. Pracowali razem, nie pytając się o zapłatę, bo ta ziemia była już ich własna. Mieli we krwi to chłopskie przywiązanie do ziemi, która marnie bo marnie, ale żywiła zawsze całe pokolenia.

— Mój ojciec Kasper jak umierał — wspomina Kulski — to martwił się o to, kto tak dobrze jak on obsieje, pańską przecież ziemię. Bolał nad tym więcej niż nad zbawieniem swojej duszy. Za dwie godziny zmarł, ale ten testament ojcowski zapamiętałem na całe życie. Nigdy z tej ziemi nie odszedłem, choć mogłem.

Rzeczywiście, przepracował na niej po wojnie dwadzieścia parę lat i w tym roku oddał młodszemu ster rządów w Spół-

dzielni. Czesław Jacynowski (którego akurat nie zastaliśmy) przyszedł tu z Gumnin w roku 1950. Wziął się, jak wielu młodszych spółdzielców, w rodzinę współzałożycieli. Sumienną pracą zasłużył sobie na to, że w lutym na ostatnim walnym zebraniu wybrano go przewodniczącym Zarządu. Pełnić tę funkcję po doświadczonej Kulskim to zaszczyt duży, ale i wielkie zobowiązanie moralne wobec kolektywu, który prowadzony pewną ręką, przy zgodnej współpracy wszystkich spółdzielców, dorobił się solidnych budynków gospodarskich, wprawdzie nie nowych, ale gruntownie wyremontowanych, domków na działkach przyzagrodowych, maszyn, inwentarza, niezłych pól.

Wiano dla młodych

Syn współzałożyciela Spółdzielni Jana Dytrycha, traktorzysta Antoni, sam już ojciec sześciorga dzieci tu się wychował, tu zdobył zawód, wybudował z żoną domek, jedną z najstaranniej utrzymanych zagrod w spółdzielczej wsi. U niego to widzieliśmy przemysłnie skonstruowany ze starych kół motocyklowych i paru desek wózek paszowy, który by się przydał w sam raz oborowemu Franciszkowi Bednarkowi, oporządzającemu 71 sztuk bydła w oborze starego typu, gdzie niemożliwa jest mechanizacja, ale jakoś w Zarządzie Spółdzielni nikt na to nie wpadł.

Może dopiero młodzi zabrają się energicznie do usprawniania pracy. Syn Jana Adamskiego uczy się przecież w Technikum Rachunkowości Rolnej w Koźminie. Ryśiek Woltmanów w tym roku zdaje maturę w bojanowskim Technikum Hodowli Roślin i Nasion, wybiera się potem na WSR. Wkrótce wróci z wojska dwóch traktorzystów Mietek Rochowiak i Heniek Bednarek, a także kilku innych, co uczyć się ślusarstwa i potrzebnych w spółdzielni zawodów praktycznych. Młodzi chętnie tu wracają, jeśli nie na stałe, to przynajmniej w odwiedzinach, jak np. rodzina Woltmanów, która po przejściu księgowego na rentę inwalidzką przed dwoma laty przeniosła się do Krotoszyńska, ale odwiedza Łukaszew. Ciągnie nie tylko działka przyzagrodowa, ale i chęć ujrzenia starych znajomych. Przyjeżdża z ojcem i Alicją, rówieśnica Spółdzielni, która rosła razem z nią.

Przykład

Obecni przy rozmowie magazynier Ignacy Kazubek i młody sekretarz POP traktorzysta Leon Przybył żywo dyskutują, kogo zaprosić na uroczyste, walne zgromadzenie. Przedstawiciele wszystkich 16 krotoszyńskich spółdzielni produkcyjnych obowiązująco, bo one fundują upominek każdej z 16 rodzin współzałożycieli Łukaszeńskiego kolektywu. Kulski przypomina, że oprócz władz trzeba by zaprosić pułkownika Borkowskiego, który z taką życzliwością pomagał spółdzielcom przy budowie pierwszych domków. Tylko jak go odszukać? Może przez MON...

— Co też się dzieje z posłem Tadeuszem Ćwikim, który był ze mną na Kongresie Zjednoczeniowym PPR z PPS w 1948 roku, a 27 marca 1947 roku uczestniczył w naszym założycielskim zebraniu z ramienia KC PZPR. Czy jeszcze żyje? — zastanawia się Kulski, wspominając czasy swojej aktywnej działalności politycznej i społecznej (pierwszy sekretarz PPR w Łukaszewie, członek Egzekutywy KP, członek KW, poseł na Sejm w latach 1952-56).

Władza ludowa oceniła jego ofiarność. Otrzymał liczne odznaczenia państwowe, wojewódzkie i spółdzielcze. Pracował nie

dla odznaczeń przecież, wstąpił do partii już w 1945 roku, bo to była partia robotnicza, a on był robotnikiem rolnym, jak jego krewni i sąsiedzi. Zawsze zachował zdrowy, chłopski rozsądek. Jego też działalność organizacyjną partijną zawdzięcza autorytet w tym środowisku, skupiając obecnie 19 członków na 42 spółdzielców. Młodzi należą do Koła ZMW w sąsiednim Gluchowie.

— O młodych też nie zapomnijcie — przypomina Kulski — choćby o tym lekarzu weterynarii Józefie Kazubku, co tak nas chętnie odwiedza i służy radą. To syn naszej spółdzielczyny. Miał stypendium, uczył się dobrze, pracuje teraz w Pogorzeli, ale o nas pamięta...

Taka opinia o młodym człowieku, którego widywało się od dziecka, to duże uznanie.

Syn Kulskiego — Mieczysław, który również podpisywał członkostwo przy zakładaniu Łukaszeńskiej Spółdzielni, od lat 17 pełni obowiązki przewodniczącego Prezydium MRN w Pogorzeli, a bratanek jest nauczycielem we wsi Gałazki koło Koźmina. Rówieśnica Spółdzielni Alicja Woltman uczy się pielęgniarstwa w pomaturalnym Liceum Medycznym w Poznaniu. Nie oni jedyni i nie ostatni zdobyli wykształcenie, choć mieli trudny start z wiejskiej, czteroklasowej szkoły w Gluchowie.

Młoda jest Łukaszeńska Spółdzielnia, młody duchem, choć nie zawsze wiekiem kolektyw, który z takim uporem kształtuje od 20 lat swoją egzystencję, zdążając ku wzorom nowoczesnej gospodarki i życia.

EWOLUCJONIZM

Dokończenie ze str. 1

działających w kraju oraz podpowiadają im taktykę i argumentację. Te zaś z kolei dostarczają im bodźców swymi rewizjonistycznymi teoriami. Występujące niekiedy niedostrzeżenie tych powiazań, traktowanie człowieka zły woli jako partnera dyskusji, oczekiwanie na poprawę tam, gdzie potrzebne było zdecydowane działanie — odegrało istotną rolę jako czynnik, który ułatwił działalność inspiratorom i organizatorom wydarzeń marcowych.

Autor listu ma jednak oczywiście rację, gdy pisze, że nie za wszystko, co złe, winić należy dywersję wroga. Co więcej — słabości naszej pracy ideologicznej, politycznej, kulturalnej, a także na froncie ekonomicznym — ułatwiają działalność przeciwnika, dostarczają mu pretekstu do ataku. Walka więc z dywersją, to nie tylko bezpośrednia z nią polemika. To również podnoszenie na wyższy poziom pracy, usuwanie słabości i wytrącanie w ten sposób przeciwnikowi broni z ręki. To również konstruktywne opracowywanie marksistowskich koncepcji w różnych dziedzinach nauki i praktyki. Walka z rewizjonizmem nie oznacza przecież, jak usiłują to przedstawić wrogowie, skostnienie, hamowanie twórczych poszukiwań. Wręcz przeciwnie, przedzjazdowa wymiana zdań i dyskusja na V Zjeździe PZPR wnosząca wiele nowych myśli, zawierająca uwagi krytyczne i postulaty świadczą o tym, że partia opowiada się za twórczymi poszukiwaniami nowych rozwiązań uwzględniających przemiany zachodzące w kraju i na świecie.

LESŁAW TOKARSKI

Przeglądamy Prasę

CHINY I MY

Chińskie prowokacje zbrojne wobec Związku Radzieckiego na rzece Ussuri wzbudziły także w naszym kraju nie tylko oburzenie, ale i refleksje. Pisz o tym m. in. J. W. w „Kulturze”, stwierdzając:

„Historia jest bogatsza aniżeli wszelkie o niej myślenie. A tym bardziej — aniżeli myślenie uschematyzowane. Wbrew rubrykom, tabelom, dedukcjom i aksjomatom Chiny w centralnych konfliktach epoki nie znalazły się wcale po stronie innych państw socjalistycznych. Przeciwnie, w sposób ostateczny i spektakularny zorganizowały swoją zbrojną demonstrację nad rzeką Ussuri właśnie w chwili szczytowego napięcia kryzysu berlińskiego. Wystąpiły jako najbardziej wiarygodny i najbardziej

wartościowy sojusznik Niemieckiej Republiki Federalnej”.

Z związku z tym wydarzeniem autor konkluduje:

„Nikt nie jest prorokiem i nikt nie potrafi już dziś przewidzieć, jakimi drogami kroczyć będzie w przyszłości polityka chińska. Demograficzna potęga Chin oddana na usługi programu dominacji i ekspansji nie skłania jednak do łatwego optymizmu. Wydaje się ona groźna dla całości pokoju światowego, opartego na uznaniu istniejącego obecnie — mimo wszelkich lokalnych konfliktów — generalnego status quo. Wydaje się groźna dla pokoju w Azji, gdzie antyradykalne aspiracje chińskie znajdują swój obiekt bezpośredni. Wydaje się groźna dla pokoju w Europie, gdzie aspiracje chińskie torują drogę aspiracjom zachodniomocnym. Wydaje się groźna, aby wspomnieć o rzeczach nam najbliższych — także i dla Polski lub nawet — przede wszystkim dla Polski, przeciwko której ów imperializm nie-niecki kieruje się w pierwszym rzędzie. Na tę groźbę kraje socjalistyczne — a może i nie tylko one — muszą znaleźć odpowiedź. Odpowiedź skuteczną, odpowiedź wspartą na empirii, choćby miała ona wykraczać poza schematyczne myślenie, tak jak wykraczała poza nie same strzały nad rzeką Ussuri”.

TECHNOKRATYCZNE ROZUMOWANIE

W dalszym ciągu na łamach czasopism toczy się dyskusja na temat technokratyzmu. „Argumenty” zamieszczają na ten temat dwa artykuły: Ryszarda Turzkiego — „Technokratyzm w krainie czarów” i Ryszarda Dyonizaka — „Technokratyczne rozumowanie i działanie”. Dyonizak — w oparciu o dotychczasową dyskusję na ten temat — daje określenie tego, co w naszych warunkach jest technokratyzmem. Polemizuje m. in. z „Polityką”, która przyczyniła się do błędnego utożsamiania techników i inżynierów z technokracją.

„Sądzę — pisze — że technokratyzm jest to sposób myślenia o problemach szeroko pojętego zarządzania w różnych dziedzinach życia (także w kulturze) oraz sposób działania w kategoriach technicznej sprawności, przy pomocy wąsko wyspecjalizowanych kadr, stanowiących solidarną zbiorowość speców, odpowiednio uhonorowaną społecznie, nie dopuszczającą nie-specjalistów do współdecydowania w sprawach natury społecznej i państwowej. Inaczej mówiąc: „technokratyzm” nie uwzględnia społecznych skutków podejmowanych decyzji, nie docenia psychologicznych aspektów działań oraz nie znajduje racji dla wciągania szerszego kręgu

osób do współzarządzania na tej zasadzie, iż nie posiadają one formalnego do tego tytułu, formalnych kwalifikacji, potwierdzonych odpowiednim dyplomem”.

GŁOSUJEMY ZA PORZĄDKIEM

Władysław Machejek kontynuuje w „Życiu Literackim” swój cykl artykułów na temat swoich doświadczeń poselskich. Tym razem zajmuje się kwestią inwestycji.

Wiadomo z doświadczenia: w planach portfel zamówień prawie zawsze jest większy niż możliwości; w myśl zasady „jakoś to będzie” — potem, w toku realizacji planu — martwił się o to mają inwestorzy, komisje rozdziału /robót; proces opracowywania dokumentacji projektowej trwa długo, o wiele za długo, bo dokonuje się wielu przeróbek, które widocznie — jak pisze autor — się opłacają; wystarczy, że budowę odda się w jakimś tam terminie (często wielokrotnie przekładanym) by otrzymać premie. A czy nie powinno tak być, że fundusz premii działa dopiero po upływie okresu gwarancyjnego?

Takich problemów jest więcej. Wszystkie zaś one w znacznym stopniu wpływają na proces inwestycji. Dlatego nie możemy się z tym godzić.

LEKTOR